Ks. Czesław S. BARTNIK

KIEDY MYŚLĘ: MATKA...

Swoje macierzyństwo traktowała jako swoiście eklezjalne. Życie było dla Niej jakimś „bezpośrednim" darem Bożym, bez względu na jego długość, treści, koleje. Dzieci swoje przyjmowała od Boga, jakby je miała rozsyłać w świat dla służby Ewangelii.

O matce trudno pisać, jak o Pratajemnicy, jak o Świecie Wewnętrznym, jak o Miłości Bożej stwarzającej. Ale Ewangelia zespala przedziwnie wszystko, co najbardziej uniwersalne i „oficjalne", z tym, co najbardziej konkretne i osobiste. Ewangelia jest nie tylko publiczna, ale i osobista. Ona ocala to, co osobiste od nieistnienia. Zresztą matka jest zawsze wielkim człowiekiem, choćby była najmniejszą z ludzi. Matka jest zawsze w samym centrum tego świata dla jej dziecka. I ze swej istoty jest zawsze wielkością także religijną. Ponadto ma ona istotne odniesienie do Ojczyzny. Jest świętą ikoną Ojczyzny. Pisząc tedy o mojej Matce, myślę o matce każdego człowieka, jak o Ewie, jak – nie bluźnię – o Matce Bożej.

Z PREHISTORII MATCZYNEJ

Znasz historię swojej matki, tak od świętych początków? Moja Matka, jedna ze zwykłych matek polskich i matek chrześcijańskich, przyszła na świat 22 listopada 1896 roku prawie sto lat temu – w rolniczej rodzinie wiejskiej, na przedprożu tajemniczej Rusi Czerwonej w Źrzebcach, między Szczebrzeszynem a dawnym Sutiejskiem. A dożyła prawie dziewięćdziesięciu pięciu lat. Jej historia święta rozpoczęła się chrztem w tydzień po narodzinach, w niedzielę, w kościele parafialnym po sumie. Akt chrztu został sporządzony po rosyjsku – znakiem niewoli pod caratem. Nadano Jej imię Marianna, jak miała Jej babka i prababka oraz praprababka po stronie ojcowej, a także liczne wcześniejsze kobiety rodu po stronie matczynej. Wówczas wieś wywodziła swoją genealogię jakby na sposób biblijny. Imię Marianna świadczyło, być może, o nawiązywaniu do dziesięciowiekowej tradycji kultu Matki Bożej Uśpienia (Zaśnięcia) w kościele miejskim i grodzkim pobliskiego Szczebrzeszyna. Dawniej w tych stronach jednak nie nadawano raczej imienia Maryja (Maria) przez cześć dla wyłączności Matki Jezusa. Ale nie chciano się oderwać od tej teologii Maryi, nawiązując raczej do idei Samorzutnej: Maria – Anna i w supozycji Dziecię Jezus lub Jan Chrzciciel.

Marianna wzrastała nie tylko w tradycji maryjnej, ale także w rodzinie typowo „niewieściej". W domu Zofii i Adama Bartników było aż osiem córek: Katarzyna, Antonina, Franciszka, Ewa, Anna, Zofia, Wiktoria, no i najmłodsza Marianna – razem wszystkie najważniejsze imiona kobiet w historii świętej. Jedyny chłopiec, Adam, zmarł po roku. Zmarły też dwie małe siostrzyczki. Każda z sześciu cór dożyła sędziwego wieku. Dom był szczególny: żywy, rozśpiewany, muzykalny, pełen humoru, żartów, psot, strojów, no i pełen kwiatów i pobożności. W rok po urodzeniu Marianny zmarł ojciec. Dom prowadziła niezwykle religijna i mistyczna matka Zofia, zresztą pod opieką patriarchalnego dziada Jędrzeja, potem z pomocą najstarszego zięcia Frania Wypycha (za którego Mama zawsze się modliła jako za swego dobrodzieja). Z boku czuwali nad całością czterej potężni stryjowie: Józwa, Wojciech, Franko i Kuba, którzy w oczach Marianny urastali do roli swoistych „świętych Józefów".

Przedłużenie domu i rodu stanowiła wieś Źrzebce, przez wieki „nieruchoma", historycznie dotykająca zespołu Grodów Czerwieńskich, które w wiekach VIII-XI były próbą zorganizowania państwa polskiego na zasadzie koalicji Grodów Lędzian (Lachów). Cała wieś, zbudowana na źrzebiu starosłowiańskim, z własnymi legendami, także religijnymi, była lechicka, cała katolicka i cała patriotyczna, dzieląca żywo w późniejszych wiekach losy Zamojszczyzny. Stanowiła niezwykłą enklawę tradycji lechickiej. Ta tradycja spowodowała, że u Matki na pierwszym planie kształtowały się sprawy Boże, na drugim – sprawy rodziny, a na trzecim – Ojczyzny, a raczej wszystkie razem w harmonijnej całości.

Młodziutka Marianna marzyła o zakonie. We wsi nie było jeszcze nigdy żadnego powołania. Po ukończeniu osiemnastego roku życia zgłosiła się do klasztoru, ale nie została przyjęta, bo nie mogła wnieść wiana, posagu. Klasztory w tych stronach kultywowały jeszcze tradycje z czasów szlacheckich. Za to w roku 1924 została przyjęta do Trzeciego Zakonu św. Franciszka z Asyżu pod imieniem Elżbiety. Kiedy nie otworzył Jej Pan bram klasztoru, wówczas chciała wraz z koleżankami i kolegami wyjechać do Ameryki. Ale znowu zabrakło funduszów na drogę za morze. W domu najstarszej siostry Katarzyny starczało tylko dla jednej osoby na drogę. Zgodnie ze swą subtelnością ustąpiła miejsca najpierw pierwszej siostrzenicy, Anieli, potem drugiej, Antoninie. U ich matki przecież żyła. Potem wybuchła pierwsza wojna światowa. I tu ciśnie się pytanie, co by było, gdyby Matka poszła do klasztoru albo wyjechała do Ameryki; co by było, oczywiście, z nami jako Jej dziećmi?

Marianna była wiejską dziewczyną pełną czaru, subtelności, zdyscyplinowania, samowychowania, odpowiedzialności i szlachetności. Była piękna, zgrabna, silna. Była pogodna, uśmiechnięta, skromna, spokojna, rozważna. Poetycka, refleksyjna, marzycielska, zaciekawiona światem i ludźmi, idąca przez życie jak przez ogród Boży pełen kwiatów – ludzi. Uczyła się za młodu

tylko cztery tygodnie w ukryciu przed strażnikami carskimi, bo po polsku uczyć się nie było wolno, a nauczyciel był konspiracyjny. Ale potem ogromnie dużo czytała, zwłaszcza teksty religijne. Przede wszystkim – co na wsi ceniono – była niezwykle pracowita, psychicznie odporna, bardzo cierpliwa i niesłychanie wytrzymała na wszystko, wykonując – potem wraz z moim Ojcem – najcięższe prace gospodarcze, domowe i polne. Tylko czasami była zacięta, uparta, melancholijna, jakby broniąc się przed popadnięciem w chaos i zgiełk tego świata. Nigdy też, aż do ostatnich dwóch lat życia, poważniej nie chorowała, nigdy nie była ani chwili w szpitalu, choć urodziła dziewięcioro dzieci. Niektóre urodziła podczas pracy w polu.

W wieku dwudziestu lat 22 lipca 1917 roku – w czasie gdy Szczebrzeszyn był już wolny, w czasie zaczątku odrodzenia Polski – wzięła ślub „z wielkiej miłości" z Michałem Bartnikiem, w piątym pokoleniu spokrewnionym (za dyspensą). Gdyby nie wyszła za „tego", nie wyszłaby za innego. W swojej rodzinie jednak nie panowała. Wnosiła pokorę, usłużność, wyrozumiałość, spokój, delikatność, swoistą mistykę rodzinną i otwarcie na sprawy Boże. Była naszym witrażem świątynnym. Stanowiła typowy przypadek dla matek polskich: cieleśnie tkwiła w gospodarstwie, a duchowo wybiegała ku Ogrodowi Maryjnemu, ku Ogrodowi Kościoła. Była to taka chrystologiczna struktura Jej życia: wszystko, co ludzkie, łączyła z tym, co Boże, przez Maryję i przez Kościół, a konkretnie przez parafię.

Swoje macierzyństwo traktowała jako swoiście eklezjalne. Życie było dla Niej jakimś „bezpośrednim" darem Bożym, bez względu na jego długość, treści, koleje. Dzieci swoje przyjmowała od Boga, jakby je miała rozsyłać w świat dla służby Ewangelii. Wszystkimi się ogromnie cieszyła, wszystkim służyła i każde traktowała sprawiedliwie. Jako małe dziecko – a byłem Jej szóstym dzieckiem – słyszałem sam, jak Ją na wsi atakowano w oczy, że miała i ma dużo dzieci. Odbierałem to jako bardzo bolesną napaść na Matkę. Odpowiadała cicho: „Przecież to Bóg daje życie! A może ostatnie będzie najbardziej do Boga i ludzi?".

Tymczasem historia święta splatała się z historią świecką: pierwsza wojna światowa, parokrotne przetaczanie się frontów przez wieś, pojmanie narzeczonego do armii austriackiej, wojna z bolszewickimi Kozakami pod Zamościem w roku 1920, wielki kryzys gospodarczy 1929-1933, kiedy to na przednówku nie było co jeść, strajki chłopskie krwawo tłumione, druga wojna światowa, nowe przetaczanie się frontów, wysiedlenie, w czasie którego Matka zabrała ze sobą święte obrazy, partyzantka i bandy rabusiów, okupacja sowiecka, próby kolektywizacji przymusowej, walka z Kościołem i religią, a wreszcie drugie odrodzenie Ojczyzny w 1989 roku. Matka przeżyła pożar domostwa, dwukrotne stawianie nowego domu i gospodarstwa, śmierć najpierw dwu małych córek, Heleny i Anieli, potem dorosłej córki Albiny i dorosłego syna Stefana, zabitego młotkiem przez pijaka, choroby dzieci, najścia bandyckie i złodziejskie, nagły

zgon męża przy stole. Nie było długo znikąd pomocy. A wreszcie to nieuniknione osamotnienie kobiety wiejskiej, gdy wszystkie dzieci poszły w świat... Czekała na nie, na każde, zwłaszcza na wakacje i święta, jak matka Tobiaszowa. Tak Pan pisze świętą historię Matki na kartach historii doczesnej.

ŚWIADEK EWANGELICZNY

„Dom Jadamowy" wnosił delikatność ducha religijnego, bez egzaltacji, bez przymusu i bez żadnego zwątpienia w Boga. Nie była to religijność wątpienia i odrzucenia. Była to religijność najpełniejszej wiary i pewności. Jednakże o najgłębszych przeżyciach religijnych w moim domu rodzinnym nie mówiło się wprost, żeby ich niejako nie sprofanować. Wszakże sama religia była uważana za coś najbardziej realnego, normalnego i nie do oddzielenia od codziennego życia. Szczególnie religijność matek rodu stanowiła ich niepomijalną „strukturę". Matka była jak „piąta ewangelia". To coś znacznie głębszego niż tylko przysłowiowe składanie rąk dziecka do modlitwy i uczenie „paciorka". To było kształtowanie „transcendentalności" osoby dziecka. Moja Matka nie uczyła Biblii ani katechizmu, ani teologii, choć wszystkie takie księgi miała i czytała. Nauczanie „szkolne" prowadzili nauczyciele, duchowni, katecheci. Ona po prostu świadczyła o realności Boga i Ewangelii. Dzięki temu Bóg był „moim Bogiem", „należał" do mnie, do mojej społeczności. Był „Kimś z rodziny".

Ponadto matka kapłana jest obdarzona specjalnym rodzajem kapłaństwa wspólnego – jakimś charyzmatem „macierzyństwa kapłańskiego" czy „kapłaństwa macierzyńskiego", choćby nawet ten syn nie doszedł do kapłaństwa lub zboczył z drogi. Moja Matka miała ten charyzmat rozwinięty aż do świadectwa ewangelicznego. Żyła rzeczywistością religijną cała, głęboko, z adoracją, kontemplacją i z tęsknotą za Niebem. Tak realistycznie żyła myśląc o Niebie. Z tą myślą uczęszczała do kościoła, oddalonego o wiele kilometrów, w każdą niedzielę, w każde święto, w deszcz, śnieg i mróz, na okoliczne odpusty, na rekolekcje, na pielgrzymki. Kiedy pójść nie mogła, na przykład ze względu na malutkie dziecko, modliła się w domu w czasie trwania sumy. Jej religijność była pełna jakiejś wolności wewnętrznej i czysta. Nas też do niczego nie zapędzała. Może czuła, że czasem rodzi przekorę u dziecka. Była bardzo delikatna: przypominała najwyżej, że w parafii zapowiedzieli „jakąś wielką uroczystość", lub pytała, czy synowie nie potrzebują „ładniejszej koszuli do kościoła".

Kościół był Jej pierwszym domem. Była tam rozradowana, pogodna, cicha, jak „u siebie", włączała się dyskretnie we wspólne modlitwy, śpiewy i inne praktyki. Nade wszystko chłonęła słowo Boże. Potem mi stawiała delikatnie różne kwestie teologiczne, na przykład co to są „grzechy przeciwko Duchowi Świętemu". Moje odpowiedzi przyjmowała z pełnym zaufaniem. Bardzo mnie to podbudowywało. Była takim teologiem wiejskim. Chyba – obym nie zbluźnił

– sam Chrystus nie miał lepszych słuchaczy z ludu jak kobiety polskie. Jeśli było to możliwe, Matka pozostawała na dwu mszach, lub na nieszporach czy innych nabożeństwach. Gdy długo nie wracała, Ojciec żartował z niej, tak po wiejsku: „Na pewno zalazła za ołtarz". Tymczasem dla Niej świątynia była głównym teatrem życia. A całą rozrywką było potem spotykanie się z krewnymi i odwiedzanie ich, na co nie było czasu kiedy indziej.

Zgodnie z zasadą nieingerencji w nasze życie nikomu z nas, czterech synów, nie sugerowała kapłaństwa. Wychowywała nas absolutną życzliwością i, czasami, jakimś delikatnym pytaniem. Ale czułem, że w głębi duszy była pewna, że któryś z nas pójdzie do kapłaństwa. Naprowadzało mnie na to czytanie przez nią „Rycerza Niepokalanej" i innych, zresztą dogasających w czasach stalinowskich, pism religijnych. Ciekawe, że – jak wyczuwałem – bardziej liczyła na mnie, choć brat Józef był lepszy. Dziwiło mnie to wówczas, bo moja postawa religijna, choć równie niezłomna co do wiary, szła raczej po linii szukania światła intelektualnego niż po linii tradycji. Dopiero potem zwróciłem uwagę i na Jej ogromne – bez wykształcenia – zainteresowanie słowem Bożym.

O moim zamiarze wstąpienia do seminarium powiedziałem Jej – jak robi to większość kleryków – w przeddzień zgłoszenia się z prośbą o przyjęcie. Miała wówczas 51 lat. Nawet się nie zdziwiła. Tylko Jej Twarz zajaśniała jakimś blaskiem ewangelicznym. Nie mogła mówić. Dla mnie było to jedno z wielkich „jawień Matki". Prosiłem na razie o dyskrecję. Kiedy jednak następnego dnia wracałem z pociągu z Lublina, spotkani po drodze sąsiedzi pytali mnie: „Jak tam w Lublinie?". Matka nie mogła nie wygłosić swego małego „magnificat". Po mnie, po trzech latach, wstąpił do jezuitów mój starszy brat Józef. Z powodu jednak owej szlachetnej dyskrecji co do uczuć religijnych nie wiem, jaki był ich dialog w tej sprawie. Wiedzieli to tylko oni dwoje. Matka w czasie naszych święceń i prymicji była jeszcze jaśniejsza, bliższa i cichsza. Była nam macierzyńskim świadkiem Ewangelii, którą miała zapisaną w swojej duszy i życiu.

MOC NADZIEI

Po moich święceniach kapłańskich u Matki pozostało do końca już tylko zaufanie do mnie, pewność co do czystości moich intencji, komunia modlitewna i żywa nadzieja, że wypełnię wolę Bożą. Było to zgodne z określeniem miłości chrześcijańskiej: „we wszystkim pokłada nadzieję" (1 Kor 13, 7). Matka to moc nadziei, to łaska umacniania w wierze i kapłaństwie. Wracałem do Niej, żeby odpocząć od zgiełku świata, znaleźć odtrutkę na złość, umocnić się w modlitwie, stać się lepszym, oglądać w Jej twarzy obraz Matki Bożej.

Matka była mi także więzią społeczną, więzią eklezjalną. Była pełna życzliwości dla każdego kolegi kapłana, dla wszystkich przyjaciół, dla każdego

ucznia, kleryka, którego zresztą stawiała na jednym poziomie społecznym ze mną. Każdy członek Kościoła był traktowany jako członek rodziny. W tym duchu każdą siostrę zakonną uważała za rodzoną siostrę. I tak wnosiła domowość i rodzinność w życie społeczne. Dom matki jest kościołotwórczy.

Trzeba też mówić o łasce długiej obecności matki kapłana. Obecność ta wspiera szczególnie trwałość kapłaństwa w synu, a także pomaga rozwijać ducha synostwa czy rodzinności duchowej w stosunku do ludzi, z którymi się on styka. Synostwo doczesne rozwija się w synostwie kapłana wobec społeczności, wobec Kościoła, wobec Maryi, Matki Kościoła, no i wobec Ojczyzny.

Zadawałem sobie nieraz pytanie, skąd u naszych matek polskich tak wielkie rozumienie Kościoła i czucie razem z sercem Kościoła, także powszechnego, i z papieżem. Matka miała zawsze na swoim stoliku obrazek papieża, a już niezwykłą czcią otaczała obrazek Jana Pawła II. Nie jest to sprawa tylko pochodzenia polskiego, bo Polacy czczą jednakowo każdego papieża. Lecz jest to większe doznanie bliskości Kościoła powszechnego i urzędu Piotra, jakby dotykanie Chrystusa i czasów apostolskich swoim konkretnym życiem, oczami i rękami prostej wieśniaczki polskiej.

Po wyborze Karola Wojtyły Matka cieszyła się ogromnie, jakby widziała nowy przypływ miłości Bożej do Kościoła, do świata, swojej rodziny. Ustawiła sobie w radiu wszystkie audycje z Watykanu, prosiła o pisma, które informowały o Ojcu świętym, słuchała i czytała po wiele razy to samo. Kiedyś przyszła Jej nawet myśl, by przez pewnego biskupa przesłać Janowi Pawłowi II „wyszywankę" na swoisty znak łączności z Namiestnikiem Chrystusa. Od kiedy bowiem się zestarzała i posiadła więcej czasu, zaczęła wyszywać artystyczne serwetki z kwiatami polskimi i rozdawała je różnym ludziom, „żeby wiedzieli, że się za nich modlę, i żeby prosić o modlitwę za mnie". Nie uważała, żeby to było niestosowne zaprzątanie głowy Ojcu świętemu: „On jest Namiestnik Chrystusa, jest dla nas wszystkich, dla każdego".

We wrześniu 1980 roku dostałem od Ojca świętego różaniec specjalnie dla Niej, wybrany, taki mocny. Jakże się radowała! Nie rozstawała się z nim we dnie i w nocy. A spała już bardzo krótko. „Za kogo się, Mamo, modlisz"? – spytałem kiedyś. „Za wszystkich: za Ojca świętego, za Prymasa, za biskupów, za księży, za zakonnice, za Polskę, za Solidarność, za wieś, za rodzinę, za nawrócenie Rosji, za zmarłych, za wszystkich". Już nie prosiła o nic dla siebie, prócz zbawienia.

Była człowiekiem modlitwy prostej, jak chleb razowy. To jednak nadawało Jej niezwykłego blasku. Zniszczyła w ostatnich latach parę modlitewników, zwłaszcza w miejscach Mszy świętej oraz Litanii: do Imienia Jezus, do Serca Jezusowego, Loretańskiej, do Matki Bożej. Pismo święte Nowego Testamentu wyglądało podobnie. Poza tym te księgi święte były poprzekładane obrazkami z Papieżem i obrazkami z różnych prymicji. Ale najwięcej modliła się na różańcu „papieskim". Aż różaniec się porwał. Jako krawcowa i hafciarka

wiązała go. Brakujący paciorek zastępowała czasem jakimś innym albo po prostu guzikiem. I modliła się. Porwał się i drugi różaniec od Ojca świętego z roku 1990. Potem już sama sobie nie radziła. „Reperował" go Jej zięć, mąż najmłodszej córki Róży. Modliła się w czasie dłuższej choroby, która się rozwinęła z grypy.

A ta modlitwa była rozmową z Chrystusem i Matką Bożą, była wyznaniem wiary, nadziei i miłości, była spłatą długu w stosunku do wszystkich dobrodziejów, była wyrazem prawdziwej tęsknoty za spotkaniem ze świętymi i zmarłymi w Ogrodach Bożych. Po zamachu na Ojca świętego patrzyła na nas ze smutkiem i lękiem. I modliła się jeszcze więcej, jeśli w ogóle można było więcej. Po kilku dniach uspokoiła się: „To było na Fatimską, Matka Boska uzdrowi Go". Miała taką żywą teologię konkretnej historii.

Przez tyle lat, od roku 1947 do 1991 przyjeżdżałem do rodzinnego Domu, do Matki, jakby z pielgrzymką. W rodzinie jest takie sacrum. Matka przeczuła każdy przyjazd dokładnie, choć bywałem w różnych dniach. – Na moment gdzieś znika, czegoś szuka, coś umyślnego przynosi. Dla Niej spotkanie z Jej dziećmi miało coś z Nieba, coś z daru osobowego. Przygotowuje ci też ulubioną potrawę z dzieciństwa. Cały dom się odmładza, robi się odświętny, przychodzą ludzie jacyś inni, jakby z lepszego świata. Opowiada ci sen, który ją zaniepokoił, a który, oczywiście, ciebie dotyczy, „zreferuje" główne wydarzenia we wsi, zwłaszcza w parafii. Zapyta, jak mają na imię „ci nowi" księża w parafii. Nigdy nie mówi nic złego o nikim, zwłaszcza o duchownych. Gdy jaki duchowny się ożeni, to długo nie przyjmuje tego do wiadomości, a potem utrzymuje, że to wina danej kobiety, jej słabej wiary. Wyraża żal, że nie byłeś na odpuście gdzieś blisko, podczas gdy było „tylu księży", dlaczego tak mało głosisz tu kazań. Ktoś się dopytuje, kiedy przyjedziesz, bo chce dać na Mszę świętą. W to wszystko wplecie gdzieś radości i kłopoty, i to, co ktoś powiedział dobrego o tobie...

I tak Matczysko jest zawsze obecne w twoim życiu. Na próżno chcesz ją „osadzić" na krześle. Tym bardziej nie usiądzie wprost naprzeciwko ciebie, najwyżej z boku, żeby ci niejako nie zawadzać. Nasze wiejskie matki polskie nauczyły się od Kościoła przede wszystkim służyć. Ich drogi są zawsze poboczne, „podporządkowane", w stosunku do dróg dzieci. Są one dotykalnym darem łaski Bożej. Żadna nie myśli, że się jej coś od życia należy – w sensie egoistycznym. Jej zapłata i triumf życia, i łaska od Boga są w tobie. Nawet jakieś obrzeża ich osobistego świata: kolorowa wyobraźnia wiejska, wybieganie marzeniami w lepszy świat, żywa ciekawość ludzi – są oddane na usługi dzieciom, no i Ojczyźnie. Szczególnie Matka kapłana jest zawsze „obok", „przy", gotowa zawsze służyć, słuchać, cieszyć się całym twoim światem, modlić się za ciebie... Jak na tym tle można by mieć wątpliwości co do potworności aborcji? Nie da się tego spokojnie pomyśleć.

Matka kapłana jest ikoną świętą, namalowaną w samym środku świata. Moja Matka, nasza Matka, krzątała się, pracowała, dzieliła troski i cierpienia

świata i tak jakoś podświadomie chciała, żeby całe to życie było jedną nieustanną Mszą świętą pod przewodnictwem Ojca świętego i innych kapłanów. Może dlatego w późniejszym wieku słuchała wszystkich Mszy świętych: z Wolnej Europy, z Watykanu, no i wreszcie z Warszawy. Tylko coraz częściej popadała w zadumę, nawet w towarzystwie, jak ptak przed odlotem w ciepłe kraje, jakby nadsłuchiwała czyjegoś wołania z daleka. Nie chciała nigdy zamieszkać w mieście, a nawet tuż obok córki: „Kto wtedy przyjedzie do mnie?". W Jej domu była Jej Osoba, atmosfera Jej życia, Jej firmament niebieski. W tym domu była Ona żywym spotkaniem z Chrystusem, z Matką Bożą, z Kościołem, z Pradziadami. Tutaj spotykała się duchowo z Matką Bożą. Matki te rozmawiają ze sobą, jak Ewa z Maryją. Jesteś pewny, że rozmawiały także o tobie. Odgadywałeś to po długim, zwisającym z kolan różańcu.

*

Zaczęło się od zwykłej grypy. Te najważniejsze wydarzenia są takie „zwykłe". Już przed szesnastu laty przygotowała sobie na śmierć habit tercjarski, szkaplerz, pasek franciszkański. Przez miesiące choroby była bardzo pogodna, choć coraz bardziej cierpiąca, tylko bardziej zamyślona... Pożegnała się ze mną przytuleniem do serca i westchnieniem do Jezusa za mną. W walce ze śmiercią wzywała imienia Jezusa. Pożegnała się potem z Różą. Westchnęła cicho po raz ostatni w dwie minuty po północy z 8 na 9 marca 1991 roku.

Matka odchodzi, nie umiera. Nie ma też starej matki. Jest tylko z latami coraz droższa, bliższa, bardziej ikonalna. Dla dziecka jest Księgą Genesis, i Słowem Bożym, i Nową Ziemią, i Kwiatem Eschatologicznym, i Znakiem Ojczyzny Niebieskiej. Jest ona kategorią nieodzowną dla twojego myślenia o świecie, o człowieku i o Bogu.